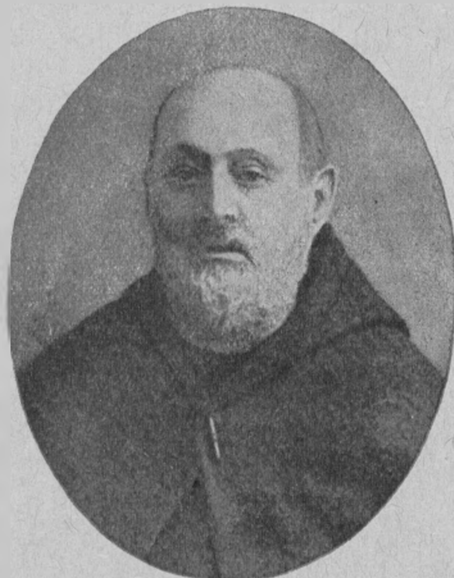
NASZA MYŚL

1934
MAJ — CZERWIEC
Nr. 3



SZERZY KULT BRATA ALBERTA

★

OMAWIA ZAGADNIENIA ZWIĄZANE
Z IDEOLOGJĄ DZIEŁA BR. ALBERTA

★

PRZYNOSI WIADOMOŚCI Z DOMÓW
ALBERTYŃSKICH

★

NASZA MYŚL



Niedokończona praca mal. Br. Albert

POD TWOJĄ OBRONĘ...

Do Ciebie Matko biegnę w każdej doli,
Czy szczęście sprzyja, czy serce strudzone;
Znając Twą miłość i moc dobrej woli
Z ufnością biegnę pod Twoją obronę.

Pod Twą obronę, gdy życiowe burze,
Łamią roślinki na grządkach sadzone,
Zginając lilje, szarpią senne róże
Ogródka mego — pod Twoją obronę!

Pod Twą obronę, gdy wichry zawieją,
Gdy wiatr Sahary w oczy piaskiem wionie,
Ja żyję wtedy, oddycham nadzieją
I ufność składam w Twej świętej obronie.

Pod Twą obronę, gdy piekielne moce,
Zda się już triumf nade mną śpiewają,
Trudy i walki, nieprzespane noce,
Wytchnienia sercu biednemu nie dają.

I gdy już całe niebo zagniewane,
Ja wznoszę duszę, serce ukorzone;
Wiem, zawiedzioną nigdy nie zostanę,
Bo się uciekam pod Twoją obronę.

S. M. DOLOROSA.

Początek nabożeństw majowych w Polsce.

Nabożeństwa majowe, poświęcone czci Najśw. Marji Panny, zaprowadzone zostały najpierw we Włoszech w połowie XVIII stulecia przez słynnego misjonarza-jezuitę O. B. La Lomia, który wydał równocześnie odpowiedni ku temu podręcznik. Pierwszym krajem, który poszedł za przykładem włoskiego czciciela Marji, była Polska. Oto już w r. 1769 ukazuje się drukiem w Przemyślu książka: «Miesiąc Maj, czyli miesiąc Marji poświęcony», wydana przez ks. Michała Drohojowskiego, a będąca tłumaczeniem podręcznika O. La Lomia. W jedenaście lat później, r. 1780 wydaje znowu w Berdyczowie, miejscu wielkiego kultu Marji, do której wielkie nabożeństwo żywił Juljusz Słowacki, ks. Marcin Bubczyński, już nie tłumaczenie, ale własne opracowanie, pod tytułem: «Miesiąc Marji, nabożeństwem, cnót świętych używaniem, Najśw. Marji Pannie poświęcony».

Ukazanie się w krótkim okresie jednego dziesiątka lat dwóch podręczników, poświęconych nabożeństwom majowym dowodzi, że te nabożeństwa miały w Polsce powodzenie duże. Niebawem atoli przyszły czasy ogólnego upadku życia religijnego. Warszawa zaczęła z «królem Stasiem» szaleć w rozpuście, a cała reszta kraju, zawsze i wszystkiem naśladująca stolicę, poczęła się oddalać od «nabożeństwa i cnót świętych używania». Przyszły nadto klęski nieustannych wojen, następnie klęski podziału kraju, a w końcu panoszenie się t. zw. «józefinizmu» w częściach zabranych przez Austrję. Nie dziw przeto, że przez pół wieku przeszło nie ukazuje się w Polsce nic, coby «Miesiącowi Marji» było poświęcone, a nabożeństwa majowe, ograniczone do samych tylko litanij, zamierają coraz więcej.

Tak zresztą działo się w całej Europie. Oceniający jednak doniosłość tych nabożeństw papież Pius VII, przypomniał je całemu światu osobnem orędziem w r. 1815. Odgłos papieskiego upomnienia ozwał się w Polsce w dwadzieścia dwa lata później, gdy w r. 1837 ukazało się w Warszawie nowe wydanie «Miesiąca Marji», O. La Lomia. Odtąd atoli zaczyna się zwrot ku lepszemu. Dzieło O. La Lomia ukazuje się następnie w różnych odstępach czasu dziesięćkrotnie. Obok niego jednak uka-

zują się dzieła inne. Oto w r. 1846 wydaje we Lwowie ks. Wincenty Buczyński znowu «Miesiąc Marji», ale innego opracowania, a mianowicie tłumaczenie dziełka niemieckiego kapłana O. Piotra Becksa. Po nim, częścią opracowania własne, częścią tłumaczenia, wydają dalej O. Stanisław Suarski, Dominikanin, O. Iwo Czeżowski, Jezuita, O. Aleksander Jełowicki, Zmartwychwstaniec i t. p.

Od tego zatem czasu rozpoczyna się właściwy rozwój nabożeństw w Polsce, postępujący coraz szybciej i wyrażający się coraz bogatszem piśmiennictwem, dotyczącem tego przedmiotu i rosnącem w miarę postępu lat dosięgając bardzo poważnej liczby różnych wydawnictw, w których celował O. Prokop Leszczyński, Kapucyn, rozsiewający po kraju swój «Miesiąc Maj dla ludu wiejskiego i dla odprawiających to nabożeństwo w gronie domowników ułożony» w dziewięciu wydaniach, z których jedno wyszło w sześćdziesięciu tysiącach egzemplarzy.

Jak sam tytuł powyższej książeczki mówi «nabożeństwa majowe» zaczęto odprawiać nietylko po kościołach, ale także po domach, u przydrożnych kapliczek i po miedzach pod gruszami, na których wisiał obrazek Marji. I tak powoli rozśpiewywała się ziemia polska chwałą Marji, bijąc coraz donośniej w niebo ulubioną pieśnią:

«Chwalcie łąki umajone
«Góry, doliny zielone,
«Chwalcie z nami Panią świata».

br. W.

Sądzę, że gorącem pragnieniem wszystkich byłoby ujrzeć wiernego syna św. Patryjarchy O. Franciszka z Assyżu na ołtarzach: przykład jego miłosierdzia względem ubogich pobudziłby zapewne liczne rzesze do ulżenia doli miljonom biedaków w czasie tak strasznego kryzysu, jaki przeżywamy obecnie.

† ADOLF PIOTR SZELĄŻEK.

MICHALINA JANOSZANKA

W MAJU.

Maj zazielenił ogrody i niwy. —
W sadach zakwitły ślubne drzew bukiety
Białym kwieciem, jakby śniegiem prósząc. —

Świat cały, przez natury obudzony przepych,
Pręży ramiona ku słońcu. —

Na cmentarze także promień złoty pada,
Jakby mogiły chciał budzić...

Lecz nie wrócą już ci, co odeszli na brzeg drugi —
I nie obudzą się uśpieni snem wiecznym,
Choćby słowiki całej ziemi rozśpiewane,
Przywabić chciały piosenką gardłek rozśpiewanych.
— — — — — — — — — — — — — —

Ale nie tam pod ziemią szukać trzeba
Życia i pamięci utraconych —
Co zmarli już dla świata, a odżyli w wiośnie,
Która zowie się zmartwychwstaniem. —

Bo dusza, co Bogu jest poddana
Wieczną wiosną żyje,
A królestwem jej jest nigdy nie więdnący
Raju ogród.
— — — — — — — — — — — — — —

Na brata Alberta grobie —
Już się z ziemi wysuwają pierwsze listki
Zasadzone ręką dbałą —
I powoje i irysy ku słońcu się śmieją. —

Grób, to jest pamiątka,
Że tam jego ciało spoczywało —
I wiemy, że tam «garstka kości» czeka,
By ją podnieść na ołtarze. —

Lecz teraz, w górę za stropy błękitów
Trzeba serce podnieść, aż ku jego duszy
Tak wysoko,
By odbiciem tej jasności,
Którą Bóg Stworzyciel rozniecił ponad jego głową
Rozpromienić własną duszę. —

I aby także, gdy wokoło nas już tylko groby
I cmentarze strzaskanych nadziei —
Oczami własnemi
Widzieć wszędzie wiosnę.
— — — — — — — — — — — — — —

Tchnienie wiosny.

W przyrodzie oznacza ono radosną pobudkę do życia w zimowym letargu uśpionej natury. Na tle żywej zieloności, symbolizującej nadzieję nastania lepszych chwil, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej rozpoczyna się praca, rozbrzmiewa wesoły gwar ludzi i ptasząt — ożywa ziemia.

Cieszymy się wszyscy z wiosny ale radość nasza powinna być tem większa, że przyniosła ona nam w tym roku długo oczekiwane ożywienie sprawy beatyfikacji Brata Alberta. Błogosławione tchnienie wiosny przeszło nad niedocenioną a przedewszystkiem uśpioną sprawą i dokazało tego, że dziś pełni



świadomości, nie złudzeni chwilowo zwiastunami, możemy podzielić się radosną wieścią: Szerzy się coraz więcej cześć Brata Alberta, ożywa sprawa Jego beatyfikacji.

Dotyczasową akcję w tym kierunku nazwać możemy, jako dorywczą działalność grona osób dobrej woli, — okresem zimowego uśpienia. Były wprawdzie też i w tym okresie słoneczne dni, do których zaliczyć musimy ukazanie się dwu monografij Brata Alberta napisanych przez ks. ks. Lewandowskiego i Staicha, działalność wydawnictwa «Naszej Myśli» i «Kalendarza», pamiętne uroczystości w Krakowie i Lwowie, mnóstwo artykułów w prasie polskiej. Była to praca znaczna, ale niezorganizowana i dlatego nie mogła przynieść pożądanego rezultatu.

Tegorocznej wiosny nastąpił zasadniczy zwrot w całej sprawie beatyfikacji Brata Alberta, która już zdaje się dostatecznie dojrzała zarówno wśród zgromadzeń Brata Alberta, jak i wśród społeczeństwa. Za punkt zwrotny uważać możemy

Walne zebranie kapituły generalnej br. br. Albertynów odbytej w połowie marca b. r. w Krakowie, a której obrady toczyły się całkowicie pod znakiem wszczęcia kroków beatyfikacji Założyciela. Konkretnym wynikiem kapituły był wybór na starszego Zgromadzenia br. Wincentego współpracownika Brata Alberta i zdecydowanego szerzyciela jego czci. Specjalnej komisji do której weszli br. przeł. Anioł, br. Tomasz, br. Viator i br. przeł. Dominik polecono gromadzenie wszelkich śladów życia Brata Alberta, dowodów czci, pamiątek związanych z jego twórczością artystyczną i działalnością humanitarną i w ogólności zajęcie się ze strony Zgromadzenia sprawą beatyfikacji.

Bezpośrednio po ukończeniu obrad zjawiła się u J. E. Ks. Metropolity A. S. Sapiehy delegacja z nowowybranym Br. Starszym Wincentym z prośbą o pozwolenie wszczęcia prac przygotowawczych do procesu beatyfikacyjnego. J. E. Ks. Metropolita z najżywszą radością wyraził swą zgodę i protektorat nad tą sprawą, jak i nad całem zgromadzeniem zlecił J. E. Ks. Dr. Biskupowi Rospondowi.

W związku z tem niebawem w Krakowie ma się zawiązać specjalny komitet beatyfikacyjny do którego wejdą wyższe osobistości miasta, z którem tak ściśle wiąże się życie i działalność Brata Alberta.

Na postulatora sprawy beatyfikacji stosownie do życzenia J. E. Ks. Metropolity uproszono ks. prof. Króla prokuratora XX. Misjonarzy.

Poza tem sprawa beatyfikacji odbiła się szerokiem echem nietylko w prasie polskiej, ale nawet polityczno-religijny dziennik państwa kościelnego «L'Osservatoro Romano» z dn. 3. IV. b. r. pisał:

O beatyfikację założyciela Albertynów.

Kapituła Generalna braci Albertynów po zakończeniu ćwiczeń duchownych i wyborze przełożonych długo zastanawiała się nad pracami przygotowawczemi do wszczęcia beatyfikacji założyciela tegoż zakonu, Brata Alberta. Jedna z delegacyj udała się do Metropolity Krakowa J. E. Księcia Sapiehy, by zyskać zezwolenie na wszczęcie powyższych prac. J. E. Metropolita nietylko chętnie zezwolenia udzielił, lecz nawet zlecił troskę Ks. Biskupowi dr. St. Rospondowi o wszystko to, co się tyczy wzmiankowanych prac przygotowawczych i pierwszej fazy tychże, dotyczących procesu kanonicznego, jak również stwierdzenia cudów, otrzymanych za wstawiennictwem Brata Alberta.

Widzimy więc, że sprawa wyniesienia na ołtarze wielkiego naśladowcy św. Patrjarchy O. Franciszka z Assyżu nabiera coraz więcej realnego kształtu i choćby ze szlachetnej dumy i ambicji narodowej powinna znaleść żywy oddźwięk w społeczeństwie katolickiem i doznać skutecznego poparcia.

Władig.

Ks. Metropolita Andrzej Szeptycki.

Wspomnienia o Bracie Albercie.

Przed niedawnym czasem zwróciło się Zgromadzenie br. br. Albertynów z prośbą do J. E. Metropolity Szeptyckiego o spisanie wspomnień o Bracie Albercie, z którym łączyły Go węzły szczerej przyjaźni. Głęboka cześć dla świętości Brata Alberta, jak i myśl, że przez Swą pracę przyczyni się do poruszenia opinji za rychłą beatyfikacją dokonały tego, że J. E. Metropolita Szeptycki łaskawie się do prośby przychylił i przekazał swe cenne wspomnienia Zgromadzeniu br. br. Albertynów wraz z błogosławieństwem i życzeniami rychłego wyniesienia na ołtarze Swego świątobliwego przyjaciela. Wspomnienia te ukażą się na łamach naszego pisma w dwóch najbliższych numerach.

Redakcja.

Brata Alberta poznałem zdaje się w 1888 roku. Już wtedy nosił, od kilku tygodni, szary habit Tercjarzy franciszkańskich; jeszcze nie taki gruby i prosty, jak w późniejszych latach — z delikatniejszego, szarego sukna, dosyć elegancko skrojony na wzór kapłańskiej sutanny z białym sznurem zamiast pasa. Już ten habit wszystkim powiadał, że Pan Adam Chmielowski stanowczo chce porzucić świat i poświęcić się na wyłączną służbę Bogu. W świecie jednak bywał i gorąco uczestniczył w dyskusjach artystycznych. Pamiętam na wieczorach u P. Konstantego Przeździeckiego, którego gościnny i zawsze otwarty dom na ul. Wolskiej zbierał artystów, literatów, krytyków Krakowa, Brat Albert dyskutował o zasadach malastwa. Krytykował bez miłosierdzia starą malarską szkołę, wykazując nielogiczność malowania n. p. rycerzy na polu bitwy w oświetleniu malarskiej pracowni. Jakżeż na szyszaku czy zbroi może odbijać cień krat w oknach pracowni. Pojęcia to były dla starego Krakowa nowe; stawały się przedmiotem gorących bardzo dyskusyj; jedni uważali taką krytykę za straszne zuchwalstwo, a inni przekonani stawali po stronie Chmielowskiego.

Ale nietylko o malarstwie dyskutował Brat Albert. Zaczynał i religijne dyskusje. W tym świecie malarzy i literatów, którzy go wszyscy bardzo kochali śmiało poruszał żywotne pytania religji.

— Wy wszyscy — mówił n. p. — nie macie pojęcia o katechiźmie; nie wiecie tego, co powinno wiedzieć każde dziecko w 10 roku życia.

— No, no, może tak źle nie jest.

— Zadam wam pytanie — jak jeden z was dobrze odpowie, to ja przegrałem.

— Pytaj!

— Powiedzcie mi, co to jest kościół?

— Nie kpij z nas — ja bym nie wiedział co to jest kościół? Kościół Panny Marji, św. Krzyża, św. Anny, św. Florjana...

— Ależ nie o taki kościół pytam — pytam o kościół, co go Chrystus Pan zbudował.

— Co do mnie to muszę przyznać, nie wiedziałem, że Chrystus budował kościoły.

— Ależ nie kościół z kamienia czy cegły — duchowy kościół.

— Ja powiem — kościół to Ojciec święty i kardynałowie.

— Niedobra odpowiedź.

— Ja dodam jeszcze — biskupów.

— Niedobra odpowiedź.

— No to ja dodam jeszcze księży.

— Niedobra odpowiedź.

— No, to chyba dodać jeszcze tercjarzy.

— Otóż widzicie — żaden z was nie umie katechizmu. Kościół — to zebranie wiernych pod widomą głową Papieżem rzymskim...

Brat Albert mieszkał wtedy na ulicy Basztowej w małem kawalerskiem mieszkaniu na II p. Tam odwiedzał go mój brat Kazimierz, w zakonie Ojciec Klemens, dziś przełożony klasztoru Studytów w Uhniowie. Brat Albert prosił go o wprowadzenie do towarzystwa św. Wincentego à Paulo, względnie do akademickiej konferencji św. Jana, która co tydzień zbierała się pod przewodnictwem p. Ludwika Dębickiego w pałacu biskupim na parterze. Członkowie konferencji odwiedzali wtedy, jak zawsze ubogich w mieście; a na zebraniach swoich omawiali ich potrzeby. Tu powstała myśl schroniska dla ubogich, którą Brat Albert w życie wprowadził. Widywałem Brata Alberta na zebraniach konferencji.

Około trzech lat później spotkałem go znowu w Krakowie w domu OO. Jezuitów na Wesołej; gromadzili się już koło niego bracia tercjarze, którzy razem z nim prowadzili pierwsze schronisko Braci w Krakowie na Kazimierzu; kierownikiem duchowym zgromadzenia był wtenczas ks. Henryk Pydenkowski człowiek bardzo szerokiego serca. Obaj unosili się nad dziełami św. Jana od Krzyża. Entuzjazm Brata Alberta dla tego przewodnika w mistycznem życiu był bardzo wielki. Dziwny ten św. Jan. O rzeczach wychodzących daleko poza granice ludzkiej natury i ludzkiej wiedzy pisze tak, jakby żył nie na ziemi, a gdzieś w niebie. W latach 1890 i 1891 często widywałem Brata Alberta i bardzo się do niego zbliżyłem. Uderzał mnie w jego postaci charakter artysty — jaki mimo woli i wiedzy zachowywał pod grubem już szarem suknem tercjarskiego habitu. Był zawsze artystą i miał ten rzadki u artystów

nawet przymiot, miał ten wybitny i bardzo charakterystyczny swój styl. Styl w mówieniu, w przedstawianiu rzeczy, w krytykowaniu tego, co mu się nie podobało, w chwaleniu tego, co lubiał. Jego każdy ruch, jego śmiech miały zawsze tyle charakteru, były zawsze czemś tak odrębnem, niezwykłem, że wprost uderzały. Nic nie było w nim tego, co nazywają oryginalnością; nigdy nie był oryginałem, ale tak był zawsze sobą. I wszystkiemu, czego się tylko dotykał, nadawał swój charakter, był taką niepospolitą, tak niezwykłą, tak wyjątkową indywidualnością, że nie mógł nie zwracać na siebie uwagi każdego człowieka myślącego i interesującego się tem, co ludzkie. — Nie uderzał świętością — a jednak wszyscy ci, którzy się do niego zbliżali odczuwali to, co tak doskonale określił tak niepospolity człowiek — jakim był ks. Henryk Jackowski T. J. Mawiał on o Bracie Albercie: — «Nie lubię ludzi za życia kanonizować, ale to pewne, że Br. Albert robi takie dzieła, jakie tylko święci umieją robić».

Brat Albert szedł drogami tak niezwykłemi, że każdy musiał powiedzieć sobie — patrząc na robotę, — temi drogami tylko Duch Boży może człowieka prowadzić.

Brat Albert zaprosił mnie na rekolekcje w schronisku Braci na Kazimierzu. Był z rekolekcji moich zadowolony, co mnie oczywiście bardzo cieszyło i jeszcze bardziej do kochanego Brata Alberta zbliżyło. Opowiadał mi o szczegółach swej młodości; jak go rodzice 14 — czy 15 — letniego chłopca oddali do korpusu kadetów w Petersburgu; młody chłopiec tak przejął się atmosferą, w którą wpadł, że wróciwszy do domu na święta, czy wakacje, ojca i matkę nazwał z rosyjska papasza i mamasza i biednych rodziców tak tem przestraszył, że już go z powrotem nie puścili do Petersburga. W otoczeniu, w którem wzrastał uchodziło wszystko co ukraińskie, co ruskie za coś idealnego, ciekawego, pięknego i chwalebnego; stąd może zachował Brat Albert bardzo szczerą życzliwość dla bratniego ukraińskiego narodu, choć nigdy nie interesowały go żadne sprawy polityczne i nawet zdaje się najmniejszego zmysłu do polityki nie miał.

W następnym roku w zimie z 1891 na 1892 przeżyłem z Bratem Albertem znowu kilka ale bardzo serdecznych chwil, które nas znowu bardzo zbliżyły, — w Zakopanem. Odwiedzał on kilku chorych na piersi braci, którzy w zimie przebywali w Zakopanem — między innymi był młody brat Witalis. Żył wtedy w Zakopanem bardzo serdeczny przyjaciel Brata Alberta malarz Stanisław Witkiewicz, który i mnie zaszczycał swą przyjaźnią. Obaj przypominali sobie czasy razem przeżyte w akademji monachijskiej; Witkiewicz człowiek rzadkiego umysłu kochał serdecznie Brata Alberta.

(c. d. n.)

„Ubogich zawsze mieć będziecie“

Co pisał o dobroczynności krakowski publicysta w połowie dziewiętnastego wieku?

Kraków, pomny dostojnego stanowiska w dawnej Rzeczypospolitej, coraz dobitniej poczyna upominać się o swoje prawa w życiu nowoczesnej Polski. Nie roszcząc sobie pretensji do miana stolicy politycznej państwa, Kraków nie może zrezygnować ze stanowiska miasta przodującego w życiu umysłowem, artystycznem, obywatelskiem i religijnem narodu. Z radością widzimy, jak obecny zarząd Krakowa z energją przystępuje do zrealizowania wielkich planów nadania miastu cech, któreby w oczach obywateli całej Polski i turystów, zwiedzających Kraków, wzbudziły podziw, uznanie i należyte zrozumienie wartości, pozostawionych nam przez przeszłe pokolenia.

Na rozkaz władz miejskich zniknęły brzydkie szyldy szpecące ulice, stare bramy odsłoniły się zdumionym mieszkańcom, na miejscu ohydnych śmietnisk powstają urocze murawy i zieleńce. Czcigodna świątynia marjacka powoli wraca do dawnej świetności, królewski gród wawelski pokrywa się freskami i złoceniami, odsłaniają się szerokie place i wspaniałe perspektywy architektury krakowskiej i może niedługo czekać będziemy na usunięcie ruder i brzydkich kamienic, które nam zasłaniają widok na wspaniałą sylwetkę rezydencji królewskiej na Wawelu.

Niestety obok tych niezawodnych, radosnych faktów są objawy przykre, które powinny być usunięte jak najrychlej. Takim przykrem zjawiskiem, które psuje dodatnią opinję naszego miasta jest uliczne żebractwo. Niepodobna przejść pieszo jednej ulicy krakowskiej, żeby nie być nagabywanym przez gromady żebraków, którzy prawdopodobnie planowo obsadzają całe miasto i na wszystkich ulicach ustawiając swoich przedstawicieli, w natarczywy sposób a nieraz brutalny upominają się o jałmużnę.

Sprawa publicznego żebractwa niejednokrotnie już była poruszaną a jednak ciągle jest aktualną. Nie jest ta sprawa taką prostą i nie da się załatwić tak łatwo jak się niektórym zdaje. Wśród wielu pomysłów załatwienia tej sprawy od czasu do czasu pojawia się plan oddania całej troski o ubogich władzom państwowym względnie miejskim, scentralizowania zakładów dobroczynnych z jednoczesnem nałożeniem nowego podatku na ludność, który byłby obracany na cele dobroczynne. Zwolennicy tego pomysłu, który w niedawnym czasie był bardzo usilnie popierany, są przekonani, że ich projekt jest nowoczesnem i najbardziej praktycznem rozwiązaniem palącej plagi żebractwa ulicznego, nie pozostającym

w sprzeczności z zasadami katolickiemi, które przecież zawsze domagały się, aby wspierać tylko tych, którzy na to prawdziwie zasługują.

W rzeczywistości myśl upaństwowienia, względnie umiastowienia dobroczynności publicznej nie jest ani nowoczesna, ani praktyczna, a przedewszystkiem jest ukrytym zamachem na stanowisko kościoła, wyrazem modnych dzisiaj prądów etatyzmu i laicyzmu. Etatyzm dąży do zagarnięcia wszystkich dziedzin życia pod władzę państwa, laicyzm pragnie wszędzie usunąć cechę religijną, zatrzeć wszelki związek w literaturze, sztuce, wychowaniu a obecnie w działalności społecznej. Wrogowie kościoła wiedzą jak wielki wpływ wywiera on przez to, że łagodzi nędzę ludzką i dlatego chcieliby mu odebrać tę dziedzinę wiedząc, że w ten sposób do celu dojdą najłatwiej.

Zwolennicy upaństwowienia działalności dobroczynnej głoszą, że należy iść z duchem czasu. przedstawiając swoje pomysły jako coś nowego.

W rzeczywistości pomysł odebrania dobroczynności kościołowi nie jest czemś nowem, nie powstał w naszych czasach. Sprawa ta była głośną w Krakowie już 70 lat temu i znalazła wyczerpujące omówienie w artykułach publicysty krakowskiego i wybitnego ówczesnego historyka sztuki Józefa Łepkowskiego. Nawiązując do dyskusji jaka na ten temat toczyła się w Senacie wolnego miasta Krakowa i na łamach Czasu, Łepkowski napisał artykuł, który został umieszczony w osobnem wydawnictwie po tytułem: «Z przeszłości» w rozdziale: «Ubodzy i zakłady dobroczynne w Krakowie».

Ciekawa ta rozprawka rozpoczyna się od zdania, która wydaje się nieprawdopodobnem. «Niedawne temu czasy, pisze Łepkowski, jak w Krakowie trzeba było chyba wyszukać i przytrzymać ubogiego, chcąc spełnić uczynek miłosierdzia». Nie wierzymy własnym oczom. Czyżby była możliwa taka szczęśliwa epoka?

A jednak takie czasy były w Polsce. Były czasy powszechnego dobrobytu, czasy powszechnego miłosierdzia. Miasto nasze było pełne instytucyj i miłosiernych fundacyj, tak, że każdy biedny jeśli nie w jednej to w drugiej instytucji znalazł potrzebne wsparcie. Że tak było nietylko w Krakowie, ale także i w innych stronach Polski o tem świadczą dzieje klasztoru i szpitala Bonifratrów w Zebrzydowicach koło Kalwarji, założonego przez fundatora Kalwarji Mikołaja Zebrzydowskiego dla wysłużonych żołnierzy polskich. Otóż rzecz niezmiernie charakterystyczna. Przez kilka lat po założeniu szpitala nie można było znaleźć kandydatów do tego schroniska, tak że wkońcu rada familijna Zebrzydowskich widziała się zmuszoną zmienić przeznaczenie szpitala i oddać go dla okolicznej ludności i pielgrzymów, przybywających na odpusty.

Niestety te idealne stosunki niedługo potem zepsuły się

i już Łepkowski o swoich czasach mówi, że «trudno przejść ulicą bez zwrócenia oczu na nędzę a wzbudzenia myśli ku poradzie złemu». W czasach naszych nędza nietylko rzuca się w oczy, ale narzuca się natrętnie i opada formalnie każdego człowieka, tak że już niesposób wszystkim przyjść z pomocą.

Wśród różnych projektów zapobieżenia publicznemu żebractwu jest pomysł uregulowania sprawy przez władze cywilne, państwowe lub samorządowe. Projekt ten wysuwano już w kilkadziesiąt lat temu, ale został on odrzucony po gruntownem oświetleniu przez ówczesnych publicystów.

Skreśliwszy działalność dobroczynną Kościoła ze szczególnem uwzględnieniem Bractwa Miłosierdzia, które ma piękną kartę w dziejach dobroczynności krakowskiej, uzasadnia autor konieczność utrzymania działalności dobroczynnej pod zarządem kościoła... Oto, co o tem pisze:

«Kościół a szczególnie parafja, to chorągiew, około której w harmonijny sposób grupowały się dawne zakłady miłosierdzia, chociaż na przeznaczenie ich nieraz stanowe względy i różnice wpływały. Wiekowe trwanie instytucyj dla ubogich, nie gdzieindziej zaiste ma bezpieczeństwo swoje, ale właśnie w tem złączeniu ich z kościołem i parafją, a nie z gminą świecką lub z kancelarją jaką... Rajcy, ławnicy, ba króle i senatorzy minęły... a k o ś c i ó ł p o l s k i pozostał».

W dalszym ciągu wspomnianej rozprawy czytamy słowa: «Ubogi mniej do gminy a więcej do parafji i kościoła należy. Gmina polityczna miewa dla niego najczęściej pożywienie i przytułek w aresztanckiej izbie, kościół zaś jałmużnę, którą dający niebo dla siebie kupuje».

A dalej:

«Ubogi to pierworodny syn kościoła. Skoro nawet udzielanie jałmużny inny ma charakter, gdy się dzieje z religijnych pobudek parafji organem, a inny gdy je spełnia kancelarja jaka, magistrat, policja lub filantropijne organizacje świeckie... Proboszcz z radnymi swymi, znając ubogich dokładnie, ich przeszłe i obecne życie, mógłby i jałmużnę najstosowniej rozdzielić i gdzie trzeba nędzę w zarodzie stłumić a jednocześnie na umoralnienie wpływać. Obok jałmużny grosza, płynęłaby jałmużna serca — a niejeden zatrzymaniem mu datku do chwili poprawy moralnej, pozbyłby się może wady swojej».

Łepkowski nie zamyka oczu na różne trudności i pomyłki akcji dobroczynnej, płynące z braku porozumienia instytucyj miłosiernych, działających za jego czasów na terenie Krakowa. Radzi podzielić ubogich na trzy kategorje:

a) Ubodzy, właściwie dziady odpustowe, wędrowne z rzemiosła lub kaleki,

b) Ubodzy z wieśniaków, wyrobników i czeladzi rzemieślniczej, chorobą lub nędzą zmuszeni żebrać, wracający nawet często do dostatku, gdy na razie wsparci zostają,

c) włóczęgi, łotrzykowie i hultaje, którym próżniactwo matką, a występ ojcem bywa, ginący zwykle marnie, lub ci co w więzieniach żywot kończą».

Dla lepszego wykonywania miłosierdzia wobec biednych prawdziwie zasługujących na wsparcie, zaleca Łepkowski utworzyć przy parafjach rady parafjalne, nad których organizacją głowy łamaćby sobie nie potrzeba, bo podstawę ich już kościół obmyślił.

Wkońcu proponuje wspólne porozumienie wszystkich organizacyj dobroczynnych:

«Znieść ubogich nie podobna, — ci wiecznie będą. Chodzi o uprzedzenie nędzy wczesną pomocą, a ulżenie jej jałmużną. Do tego też dążą wszystkie tak liczne zakłady dobroczynne naszego miasta. Gdy się (bez zmiany w poszczególnych kierunkach) moralnie połączą do wspólnego im celu, silniej i skuteczniej działać będą mogły».

Nie doczekał się zacny obywatel zrealizowania swych mądrych rad. Dopiero w naszych czasach, za inicjatywą Najprzewielebniejszego Arcypasterza diecezji krakowskiej Ks. A. Sapiehy, powstały tak zwane komitety parafjalne, a w roku bieżącym utworzył się sekretarjat pośredniczący między wszystkiemi organizacjami dobroczynnemi pod nazwą «Caritas».

«Caritas» nie wyklucza działalności zakonów, bractw i różnych instytucyj, które dotąd istniały w naszem mieście, zdąża tylko do porozumienia między niemi i sprawniejszego działania.

Ludność katolicka winna gorąco poprzeć nową instytucję, z jeszcze większą gorliwością przychodząc z pomocą tym organizacjom, które dotąd wspierała. Nie wątpimy, że przyjaciele Brata Alberta będą pierwsi w pracy na polu niesienia pomocy najbiedniejszym, którą zgromadzenie Br. Br. Albertynów w różnych stronach Polski prowadzi, wiernie stojąc przy sztandarze swego Założyciela.

Ks. Dr. Kazimierz Prażmowski.

Czyż możemy pozwolić, by wyziębiały się serca i by się miłosierdzie chrześcijańskie kurczyło? Czyż raczej nie powinna miłość bliźniego rozpierać dusz i mimo przeciągłego przesilenia ekonomicznego uzdolniać nas do cudów i bohaterstwa w dziedzinie dobroczynności.

† KARDYNAŁ AUGUST HLOND.

W carskiej szkole.

Wiosna w całej swej krasie spłynęła na ziemię, strojąc ją kobiercami świeżej zieleni i kwiatów. W porze wieczornej tłumy ludzkie płyną ku błoniom i podmiejskim lasom, by tam odetchnąć chociażby na chwilę czystem powietrzem, ucieszyć się widokiem kwiatów i rozbawionych zastępów młodzieży.

W dniach wiosennych duszno robi się w murach szkolnych. Leniwo płyną godziny, uwaga z trudnością zatrzymuje się na podawanych jej wiadomościach, wyobraźnia ucieka ku zielonym łanom a każda zapowiedź wycieczki budzi entuzjazm szkolnej gromady.

Polska szkoła, przejęta troską o zdrowie młodego pokolenia, idzie daleko w uwzględnieniu naturalnego pędu młodzieży ku przyrodzie i gorąco popiera wszystko, co zdąża do wyrobienia tężyzny fizycznej. Starsi z zazdrością patrzą na zajęcia sportowe dzisiejszej młodzieży i z melancholją przypominają sobie kary wymierzane przez szkołę zaborczą za ślizgawkę czy ćwiczenia bronią, narzucane przez obcą władzę w myśli przygotowania dla siebie rekruta. A jednak w tej zaborczej szkole pokolenia nie zatraciły przywiązania do wiary i Ojczyzny, pod obcym mundurem biło polskie gorące serce, przyszłych bohaterów i świętych kościoła.

Wychowankiem obcej, rosyjskiej szkoły był Adaś Chmielowski, późniejszy Br. Albert. Wypełniając wolę ukochanej matki, która po śmierci męża chciała jak najlepiej zapewnić przyszłość ukochanym dziatkom, w jedenastym roku życia wyjechał Adaś Chmielowski do korpusu kadetów w Petersburgu. Ciężko było potomkowi rycerskich Powalów przywyknąć do mundurka rosyjskiego, a jeszcze więcej do niezdrowej atmosfery rosyjskiej szkoły wojskowej, gdzie niepodobna było zwykłemu chłopcu dłużej utrzymać się w wierności wyniesionym z domu rodzinnego ideałom.

Posłuszeństwo dla ukochanej matki, której wolę pragnął Adaś jak najlepiej wykonać, silna wola i gorąca miłość Boża, zapalona w jego dziecięcem serduszku pokonały wszystkie przeszkody. Adaś nietylko nie uległ złym wpływom, ale sam stał się duchem opiekuńczym kolegów Polaków i wzorem, na który nauczyciele rosyjscy wskazywali wychowankom zakładu.

Jednego dnia w obecności cara Aleksandra II, który szkołę zwiedzał wśród różnych popisów odbyły się ćwiczenia białą bronią. Car niebawem wyróżnił Adasia, ze szczególniejszem upodobaniem przypatrując się ruchom małego zucha. Po skończonych popisach, car zawołał do siebie Adasia i zapytał, czyim jest synem, skąd pochodzi i gdzie nauczył się tak świetnie władać szablą. Chłopiec nieco zawstydzony niezwykłem wyróżnieniem, odpowiedział mimoto śmiało: «Jestem Polakiem, przyjechałem z bardzo ładnego miasta Warszawy, a szablą każdy polski szlachic umie władać». Cesarzowi ogromnie podobała się śmiałość, roztropność i dobre wychowanie Adasia, szczególnie uwydatniające się na tle zalęknienia i nieopanowania się jego kolegów korpusowych, polecił więc komendantowi korpusu zamianować Adasia starszym klasy i wydać mu specjalny żeton «za staranność».

Niezwykłe wyróżnienie ze strony cara nie zwichnęło charateru Adasia, po dawnemu tęsknił do ojczystego miasta, marzył o Polsce i o służbie Ojczyźnie, na razie jednak starał się jak najwięcej skorzystać z tego co mu dawała carska szkoła. Kolegom nie dawał odczuwać swej przewagi i z dnia na dzień zdobywał sobie w korpusie coraz większą miłość i posłuch wśród małych podkomendnych. Nie był jednak Adaś wolny od wad właściwych jego wiekowi, a szczególnie wygórowane poczucie honoru i pewna samowola popychała go do wybryków, które na szczęście zazwyczaj kończyły się pomyślnie, dzięki zaletom charakteru biorącym górę nad przyrodzonemi wadami.

Przykładem tego jest zdarzenie, które miało miejsce niedługo po odwiedzinach cara w korpusie. Zwyczajem szkolnym na zakończenie roku szkolnego odbywały się manewry, przy których pojedyncze klasy korpusu walczyły ze sobą. Klasa Adasia otrzymała za przeciwników starszych od siebie uczniów klasy trzeciej. Wynik walki był z góry przesądzony przez komendanta, przekonanego, że uczniowie pierwszej klasy, poraz pierwszy występujący do tego rodzaju ćwiczeń, nie mogą dorównać już zaprawionym do walki uczniom klasy trzeciej.

Stało się jednak inaczej niż można było przypuszczać, bo kiedy klasa pierwsza z Adasiem na czele znalazła się na placu ćwiczeń, Adaś zwracając się do kolegów powiedział: «Czy my pozwolimy siebie zwyciężyć, przenigdy!» Następnie mały dowódca zagrzawszy do męstwa, swoich żołnierzy, polecił im zbierać drobne kamyki i wkładać do luf karabinów, naladowanych ślepemi nabojami, co przez wszystkich z zapałem zostało wykonane.

Gdy po szeregu taktycznych posunięć, zgodnie z instrukcją komendanta spotkały się nieprzyjacielskie oddziały, Adaś nakazał swoim żołnierzom salwę, która wywołała popłoch w szeregach trzeciaków. Zdezorjentowani sińcami i lekkiemi zadraśnięciami od kamyków, padających z karabinów trzeciacy porzucili broń i z okrzykami przerażenia, wołając, że malcy strzelają ostremi nabojami, uciekli z pola bitwy. Mali zwycięzcy pozabierali trofea walki i upojeni triumfem wracali do koszar, nie wiele troszcząc się o skutki swego czynu. Adaś wiedział, że czeka go wyrzucenie z korpusu. Z jednej strony cieszył się, że w ten sposób rychlej pozbędzie się znienawidzonego munduru rosyjskiego, z drugiej strony duma chłopięca była narażona na poważne próby na myśl, że nie dobrowolnie opuści korpus, ale zostanie karnie wydalony, najwięcej zaś bolało go wspomnienie o przykrości jaką sprawi ukochanej matce.

Na szczęście korpus małych bohaterów w tym dniu odwiedził Wielki Książe. Poinformowany dokładnie o przebiegu zajścia, zawezwał Adasia przed siebie. Adaś z żetonem, podarowanym mu przez cesarza stanął na baczność i na pytanie o powód swego czynu odpowiedział: «My nie mogliśmy dać się zwyciężyć, a ponieważ byliśmy słabsi użyliśmy podstępu, wiedząc, że kamyki, luźnie powkładane do luf, nie mogą wyrządzić przeciwnikom większej szkody».

Książe zdumiony tym wszystkiem nie mógł ukryć uznania dla męstwa i poczucia honoru u młodego kadeta, udał jednak srogiego i obiecując ukarać winnych, poszedł na konferencję z gronem profesorskiem, a młodzieży polecił ugrupować się w oddziały i oczekiwać wyroku. Po kilkunastu minutach narady powrócił Wielki Książe do sali w towarzystwie dyrektora zakładu i oficerów, i zwracając się do uczniów klasy trzeciej w surowych słowach udzielił im nagany, że w obawie przed kamyczkami uciekli przed malcami z pola bitwy. Następnie zganił niesubordynację pierwszaków, ale zarazem pochwalił ich odwagę i w dowód uznania darował im karę, a nawet polecił każdemu podarunek w postaci funta cukierków.

W ten sposób nadspodziewanie szczęśliwie skończyło się zajście spowodowane wygórowanem poczuciem honoru Adasia, które w innym wypadku mogło zakończyć się wydaleniem z zakładu. Wyróżniany przez profesorów szczerze lubiany przez kolegów, Adaś pozostał przez cały rok w szkole, ale coraz silniej odczuwał tęsknotę za rodzinnym krajem. Nic dziwnego, że gdy latem 1858 roku przyjechał do Warszawy na wakacje z rozrzewnieniem witał ukochane miasto, na każdą spotkaną twarz spoglądał z sympatją, z rozkoszą wsłuchiwał się w dźwięki mowy ojczystej, której mu w zakładzie petersburskim używać nie było wolno.

Powitany serdecznie przez matkę i rodzeństwo, Adaś zaczął opowiadać o swojem życiu w korpusie, o zajęciach i lekcjach a w dowód, że czegoś nauczył się, zadeklamował wiersz «Było delo pod Połtawą».

Matka, słysząc Adasia, deklamującego po rosyjsku przeraziła się, że jej kochany syn, wychowany w atmosferze wielkiej miłości Ojczyzny, pietyźmie do pamiątek narodowych, pod wpływem obcego otoczenia zapomni ojczystej mowy i ulegnie wpływom sympatji dla Rosji, wzmagającym się w ówczesnem społeczeństwie polskiem. Postanowiła zatem nie posyłać Adasia do Petersburga, i kształcić go dalej w Warszawie, pomimo że było to połączone z dużemi wydatkami podczas gdy w Petersburgu wszystko otrzymywał za darmo. Wszystkie jednak trudności i wydatki dla dzielnej patrjotki były niczem wobec niebezpieczeństwa osłabienia ducha polskiego u jej ukochanego dziecięcia.

Adaś z radością przyjął wiadomość o decyzji matki i z zapałem zabrał się do pracy nad przygotowaniem się do egzaminu do klasy drugiej gimnazjum realnego w Warszawie.

Wycinki prasowe.

Niemiecki głos o Bracie Albercie.

W wielkanocnym numerze katolickiego tygodnika «Der Katholik», wychodzącego w Mainz spotkaliśmy miły artykuł o Bracie Albercie zatytułowany «Św. Franciszek w Polsce».

Nawiązując do jubileuszu czterdziestopięciolecia istnienia zgromadzenia albertyńskiego krótko kreśli autor «osobliwe koleje życia Brata Alberta, którego dzisiejsze pokolenie uważa za świętego».

Po opisie romantycznej młodości, studjów i karjery artystycznej czytamy:

...Brat Albert po powrocie z zagranicy początkowo przebywał w Warszawie, później w Krakowie. Tu nastąpił przełom w jego życiu. Skoro raz przypadkowo wdał się w rozmowę z kilkoma opuszczonymi wykolejeńcami — usłyszał głos wewnętrzny: «Porzuć wszystko i poświęć się tym nieszczęśliwym». Głos ten nie dał mu spokoju Wreszcie postanowił wyrzec się swojej artystycznej karjery i pełnego uciech świata aby poświęcić się cały i w zupełności najbiedniejszym i najnieszczęśliwszym. Około Brata Alberta zgromadzili się wkrótce ludzie przejęci głęboko jego zasadami i w ten sposób powstało zgromadzenie zakonne, które przyjmując regułę III Zakonu św. Franciszka, jeszcze mocniejszą zyskało podstawę i którego wyłącznem zadaniem jest duchowa i materjalna opieka nad biednymi.

Brat Albert wyczerpany niszczącą zdrowie działalnością i kalectwem w r. 1916 zakończył swe życie, które było wzorem ofiarnej miłości bliźniego».

Sympatyczne echo świątobliwego życia Brata Alberta w Niemczech, to jeszcze jeden dowód, jak daleko szerzy się cześć polskiego «Biedaczyny z Krakowa». Z radością go notujemy, a Przew. Ks. Prok. Królowi dziękujemy za łaskawe użyczenie nam powyższego artykułu.

Spadkobiercy franciszkańscy.

Pod powyższym tytułem Kurjer Warszawski z dn. 30 grudnia zamieścił artykuł ks. dr. Szkopowskiego. Wspaniale

kreśli autor sylwetkę duchową Brata Alberta, podkreślając wybitnie moment przełomowy i założenie zgromadzenia. O zgromadzeniach między innemi pisze:

Życie współczesne bije tętnem coraz bardziej intensywnem, nic przeto dziwnego, że Kościół katolicki, który jest instytucją żywą, powołuje do działania coraz to nowe zgromadzenia, ażeby zaradzić wszystkim potrzebom ludzkości, duchowym i materjalnym i tem się tłumaczy wielka ich ilość; na to nie pomoże przerażenie wrogów Kościoła, który tak musi czynić, bo to należy niejako do jego natury».

Tu urywamy, bo omawiając działalność zgromadzenia br. br. Albertynów autor coś za bardzo przesadził. Nic dziwnego. Nie jest to sąd ściśle objektywny, bo pisał to wielki przyjaciel dzieła Brata Alberta. Któż inny tak mógłby pisać:

«Jeżeli spotkasz czytelniku, człowieka, odzianego w habit-wór, bosego, to spojrzyj na niego przyjaźnie, bo jest człowiek, który żyje w takich warunkach i otoczeniu, w którem tylko łaską Boską utrzymać się można. Jeżeli prosi cię o datek na swoje dzieło, daj, a spełnisz czyn prawdziwego miłosierdzia».

O ulicę Brata Alberta w Krakowie.

«Ilustrowany Kurjer Codzienny», zawsze jak najżyczliwiej odnoszący się do dzieła Brata Alberta i Jego spadkobierców duchowych, pisze w nrze 87-ym z b. r. j. n.:

«O ulicę Brata Alberta w Krakowie. W jesieni ub. r. wspomnieliśmy na tem miejscu i zwróceniu się przedstawiciela «Katolickiej Agencji Prasowej», ks. prof. mgra Weryńskiego, do włodarzy naszego miasta z prośbą o nazwanie odcinka ul. Felicjanek, łączącego się z ul. Retoryka, imieniem «Biedaczyny Krakowskiego», Brata Alberta. Wracamy dziś do tej sprawy i wyrażamy przekonanie, że Brat Albert był i jest chlubą Krakowa, powinien zatem w formie proponowanej powyżej być uczczonym przez miasto, z którem się zrósł i on i jego dobroczynny zakon miłosierdzia».

Wyrażamy nadzieję, że to przypomnienie odniesie skutek pożądany.

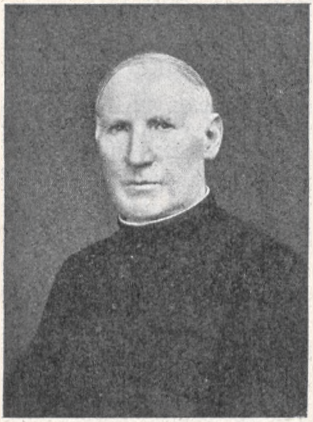
Jeszcze jeden...

...artykuł o Bracie Albercie, a mianowicie przepiękny odczyt p. prof. Nowickiego, wygłoszony podczas akademji we Lwowie, wydrukował w kwietniowym numerze «Dzwonek III zakonu św. Franciszka, wydawany przez OO. Bernardynów we Lwowie. Dotychczas ukazała się jedna część odczytu a następne fragmenty, jako osobny artykuł ukażą się w zeszycie majowym.

Włofig.

Ś. P. O. Czesław Lewandowski.

Wybitną rolę odegrali w życiu Brata Alberta jak i w rozwoju Jego zgromadzeń ludzie, których nazwaćby można wielkimi przyjaciółmi. Ci wielcy przyjaciele to, albo ludzie, których z Bratem Albertem łączyły węzły serdecznej przyjaźni, albo wielcy sympatycy i dobrodzieje, których Bóg wybrał na narzędzie Swej Opatrzności. Wielkość jednych polegała na świętości, a drudzy zaś posiadali serca żywo współczujące z niedolą bliźniego. Dobrodziejów-opiekunów zakłady albertyńskie zawsze mieć będą, ale niestety kurczą się coraz więcej szeregi serdecznych, osobistych przyjaciół Brata Alberta. Bezlitosna śmierć prawie co roku wyrywa ich z naszego grona. Obchodziliśmy niedawno rocznicę śmierci nieodżałowanej pamięci Ks. Biskupa Nowaka, a tu nowy cios dotknął rodzinę albertyńską.



20 marca b. r. odszedł do wieczności ks. Czesław Lewandowski. Znana i powszechnie poważana była to postać wśród duchownych dzieci Brata Alberta, którego ś. p. Zmarły był osobistym przyjacielem.

Po śmierci pisano o Nim, «że był bezsprzecznie jedną z najwybitniejszych osobistości Krakowa. Zdanie to nie jest bynajmniej przesadą. Wprawdzie zmarły zajmował bardzo odpowiedzialne stanowiska w hierarchji duchowej jako przełożony domu zakonnego Księży Misjonarzy na Kleparzu w Krakowie, i jako długoletni Ojciec Duchowny seminarjów we Lwowie i Krakowie, wychowujący przyszłych kapłanów pod względem najważniejszym, bo pod względem religijno-moralnym. Ale zewnętrzne stanowisko nie decydowało wcale o wielkości Ojca Lewandowskiego i o Jego bezcennych zasługach dla naszej Ojczyzny, a w szczególności dla Krakowa. Wielu było w Krakowie ludzi wyższych od Niego stanowiskiem społecznem i innemi zewnętrznemi przymiotami. Cała niedościgła wielkość Ojca Lewandowskiego polegała na Jego wartości wewnętrznej, czyli mówiąc całkiem wyraźnie — na Jego świętości. Świętość decydowała o Jego wielkości».

Stosunkowo w ostatnich latach mało mieli sposobności bracia stykać się z ś. p. Ojcem Lewandowskim, ale ci, którzy mieli to szczęście, to z największem wzruszeniem wspominają pamiętne «kolacyjki duchowne». Nazwa ta jest autentycznem

powiedzeniem Ojca Lewandowskiego, a odnosząca się do następującego zdarzenia.

Bywało, że bracia udający się do pracy spotykali w lesie gdzieś obok klasztoru sióstr, zażywającego odpoczynku wakacyjnego w Zakopanem Ojca Czesława. Zawsze znalazły się u nich jakieś wątpliwości, wynikające z trudności życia zakonnego, jakieś skrupuły, a któż lepiej jak On potrafił zbolałe dusze leczyć. Wtedy to proszony o radę anielsko słodki Ojciec brał ich na jakąś odosobnioną polanę i tam wzorem starodawnych pustelników odprawiał z nimi konferencje duchowne, które nazywał «kolacjami duchownemi». Przepyszne były te kolacje, bo Ojciec karmił samemi specjałami spadkobierców idei Brata Alberta, która tak bliska była Jego świątobliwej duszy. Człowiek pozostawał pod wrażeniem słów i tego fluidu świętości, jaki wiał od postaci Ojca Lewandowskiego. Jeden z braci, wspominając te chwile dodaje: «Ojciec Lewandowski to cały św. Franciszek albo drugi Brat Albert, a zwłaszcza, tam w górach, tam w lasach podczas tych «kolacyjek».

Najgłębszą przyczyną przyjaźni współpracy Ojca Lewandowskiego z Bratem Albertem i z Jego duchową rodziną było wspólne Im obu umiłowanie ludzi biednych i cierpiących. Po śmierci Brata Alberta On był niejako powołany, by czuwać nad wykonywaniem duchowego testamentu wśród zgromadzeń sióstr i braci albertynów. Był pierwszym, który napisał obszerną monografję o Bracie Albercie i od kilkunastu lat pracował nad gromadzeniem materjału do opracowania obszerniejszego życiorysu. Niestety śmierć nie pozwoliła Mu urzeczywistnić gorącego pragnienia. Umarł w domu macierzystym s.s. Albertynek w Prądniku Czerwonym, gdzie od trzech lat pełnił obowiązki kapelana.

23 marca odbył się pogrzeb Ojca Lewandowskiego. Wczas rano nastąpiło wyprowadzenie zwłok z domu żałoby na Prądniku Czerwonym do kościoła Księży Misjonarzy na Stradomiu, gdzie przy zwłokach odprawiono uroczyste nabożeństwo żałobne i odśpiewano egzekwje. Po nabożeństwie uformował się kondukt żałobny, prowadzony przez Ks. Biskupa dr. Rosponda w otoczeniu wielkiej liczby duchowieństwa świeckiego i zakonnego. Od bramy cmentarnej doprowadził kondukt Ks. Metropolita A. S. Sapieha. Na cmentarzu rakowickim w tej samej ziemi ukrywającej śmiertelne szczątki Brata Alberta spoczęły także zwłoki Ojca Lewandowskiego, wielkiego przyjaciela i duchowego kierownika rodziny albertyńskiej. *Cześć Jego świątobliwej pamięci.*

W. F.

Dział B. Wychowanków.

Podniosła uroczystość we Lwowie.

Lwowskie zakłady albertyńskie obchodziły niedawno dwie — w połączeniu uroczystości, uwydatniające ich działalność na polu pracy wychowania młodzieży, przysparzania państwu i społeczeństwu zdrowej, rozwiniętej i zahartowanej młodzieży.

Pierwsza uroczystość to zjazd byłych wychowanków albertyńskich, który rozpoczął się Mszą św. celebrowaną przez sędziwego kapłana zakładowego, zasłużonego ks. Marjana Jakubowskiego.



Gen. Popowicz przechodzi przed frontem kompanji zakładowego P. W.

Wśród uczestników zjazdu znalazła się 33 usamodzielnionych wychowanków zakładu lwowskiego, uczestniczyli także Magister Zgrom. br. br. Albertynów br. Józef z Przemyśla oraz pp. Rubinger prof. Konserwatorjum lwowskiego i dyr. Szkoły Przemysłowej p. Fr. Sobol.

Po Mszy św. odbyło się walne zebranie członków zjazdu zaincjonowane przez protektora młodzieży br. przeł. Dominika i Zarząd b. Wychowanków, — na zebraniu omawiane były kwestje utrwalenia dążeń ideowych młodzieży albertyńskiej. Zebranie zakończono przyjęciem szeregu uchwał, o godz. 3-ej pop. Zkolei przybyły na uroczystość dow. DOK. gen. Popowicz przystąpił do udekorowania piętnastu wychowanków odznakami O. S. i rozdania dyplomów za odznaczenie w strzelaniu do tarczy. (Najmłodszy z dekorowanych liczy lat 11).

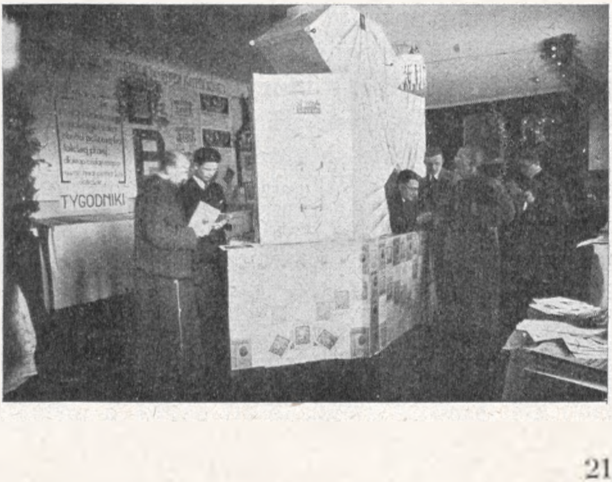
Następnie w sali scenicznej br. przeł. Dominik powitał gości biorących udział w uroczystości, a to, p. gen. Popowicza,

reprezentanta p. wojewody lwowskiego, p. nacz. dr. Szkodzińskiego, dr. Ćwiklińskiego, Dyr. Szkoły Ogrodn. Kaz. Brzezińskiego i wszystkich obecnych, poczem odbyły się produkcje muzyczno-wokalne, których program obejmował: deklamacje, muzykę i tańce krakowskie w wykonaniu wychowanków zakładu.

Po skończonym programie uczestnicy uroczystości udali się na wspólne święcone, urządzone przez br. przeł. Dominika i Zw. B. Wych. Całość uroczystości pozostawiła na uczestnikach niezatarte wrażenie. *«Kurjer Powszechny».*

Udała impreza krakowskiego Koła b. wychowanków.

Sekcja oświatowa Koła B. Wychow. urządziła w sali zakładowej przy ul. Kościuszki 86 wystawę prasy katolickiej. Skromna ta impreza doszła do skutku dzięki wydatnej pomocy K. A. P.-owej, a przedewszystkiej jej przedstawiciela ks. Prof. Mgra Henryka Weryńskiego oraz dzięki poparciu Br. Starszego Wincentego. W ładnie udekorowanej sali na specjalnie do tego celu dostosowanych stołach rozmieszczono ponad 130 czasopism katolickich. Osobno dzienniki, tygodniki, miesięczniki. Dzienników jednak było niewiele i to przeważnie polityczne. Dodatnio wyróżniał się *Głos Mazowiecki* z Płocka, który trzymając się zdala polityki jest pismem czysto katolickiem. O wiele lepiej przedstawia się katolicki stan posiadania w prasie tygodniowej. Tu prócz tygodników djecezjalnych jak: *Dzwon Niedzielny, Tygodnik Polski, Nasza Sprawa, Niedziela, Gazeta Niedzielna, Prawda Katolicka, Gazeta Tygod-*



Fragment wystawy prasy katolickiej.

niowa mamy pisma postawione na bardzo wysokim poziomie n. p. *Przewodnik Katolicki*, którego stoisko na wystawie zwracało ogólną uwagę, — *Gość Niedzielny* z Katowic i *Posiew* z Warszawy.

Imponująco przedstawiał się zbiór miesięczników, które ugrupowano działami: dla młodzieży, marjańskie, sodalicyjne, teresjańskie, dogmatyczne, franciszkańskie, misyjne, salezjańskie, społeczne i akcji katolickiej. Jeżeli chodzi o ilość eksponatów, to wystawione czasopisma potrafiły dokładnie zobrazować stan prasy katolickiej w Polsce.

Na środku sali stał wspaniały kiosk *Naszej Myśli* i *Rycerza Niepokalanej*, w którym rozdawano egzemplarze okazowe tych wydawnictw, a była ich znaczna ilość, skoro sam *Rycerz* prócz innego materjału propagandowego przysłał 1500 numerów okazowych. Zwiedzający mogli się w przybliżeniu zapoznać z gigantycznem jak na nasze stosunki wydawnictwem polskiego Niepokalanowa z licznych ciekawych fotografij, ilustrujących pracę przy powstawaniu najwięcej rozpowszechnionego wydawnictwa katolickiego w Polsce. Stoisko *Naszej Myśli* według projektu Władysława Figla wykonali p. Kasperski Michał, Klocer Marjan, Radwan Józef, Galas Fr. i Lipiński Władysław.

Prócz czasopism nadesłano na wystawę wydawnictwa popularne oo. Jezuitów, oo. Oblatów, xx. Redemptorystów, xx. Salwatorjanów, xx. Pallotynów, PP. Norbertanek. Atrakcją wystawy był wspaniały portret Brata Alberta, malowany, łaskawie ofiarowany zgromadzeniu br. br. Albertynów przez art.-mal. p. Leona Wyczółkowskiego.

Podczas trwania wystawy wygłosił odczyt p. t. «Prasa na usługach idei», ceniony współpracownik Dzwonu Niedzielnego, p. prof. dr. Jelonek, a który raczyli zaszczycić swą obecnością Ks. prof. H. Weryński, P. M. Janoszanka, P. Inż. Fiszer.

Jeżeli weźmie się pod uwagę, że przez wystawę przesunęło się więcej niż pół tysiąca ludzi, mimo znikomej reklamy, że przyjęto na miejscu kilkanaście zamówień na całoroczną prenumeratę, że przeprowadzono dość skuteczną propagandę i kolportaż dobrej prasy, to należy ostatnią imprezę Koła B. Wychowanków uważać za udałą i choć nie przyniosła ona poza zadowoleniem własnem organizatorów ze spełnionego i dobrze pojętego obowiązku względem prasy katolickiej, —

to jednak była wystawa znacznym przyczynkiem w rozbudowie koniecznego dzieła.

Do Rzymu doszło echo wystawy prasowej.

Znany na całym świecie dziennik polityczno-religijny *L'Osservatore Romano*, wychodzący w państwie Watykanu, zamieścił w dn. 18. IV., b. r. miłą wzmianką o naszej wystawie, którą poniżej podajemy w tłumaczeniu:

«Z inicjatywy zarządu koła b. wych. albertyńskich i przy pomocy Katolickiej Agencji Prasowej w Polsce (Kap) została zorganizowana wystawa polskiej prasy katolickiej. Znalazła ona pomieszczenie w salach zakładu wychowawczego, kierowanego przez braci Albertynów, którzy noszą imię założyciela zgromadzenia — brata Alberta, który był przedewszystkiem wielkim dobroczyńcą ubogich. Mimo trudności finansowych, jakie na samym początku wyłoniły się, wystawa była nadzwyczaj interesująca i pozwoliła ocenić dorobek wielkiego postępu prasy katolickiej i jej stan obecny.

W jednej ze sal wystawy, znany publicysta katolicki, prof. dr. Jelonek wygłosił interesujący odczyt na temat: «Prasa na usługach idei». Po odczycie p. Figiel w imieniu komitetu organizacyjnego, podziękował Agencji Prasowej Kap, reprezentowanej w osobie Przew. ks. dr. Weryńskiego, za wydatną pomoc w urzeczywistnieniu tej pięknej manifestacji.

Na wystawie ogólną uwagę zwracał piękny obraz Brata Alberta, który podarował Zgromadzeniu Albertynów, wybitny malarz Wyczółkowski».

Łaski otrzymane za przyczyną Brata Alberta.

Zdrowie otrzymane za przyczyną Brata Alberta.

Wieluń 19. II. 1934.

Moja siostra, b. albertynka przysłała mi żywot Brata Alberta, który przeczytałam i byłam zachwycona Jego sposobem życia. Przyszło mi na myśl, żeby odprawić nowennę do Dzieciątka Jezus przez przyczynę Brata Alberta, a to w celu uproszenia zdrowia dla siebie, bowiem według orzeczenia lekarzy gruźlica zajęła moje płuca. Najlżejsza praca fizyczna bardzo mię męczyła, odczywałam brak apetytu, noce spędzałam prawie bezsennie, a najwięcej cierpiałam od tego, że nie mogłam brać udziału we wspólnych ćwiczeniach Zgromadzenia. Temperatura wahała się pomiędzy 37 i 38 stopni. Tak cierpiałam mniejwięcej przez przeciąg 5 lat. Wszystkie środki medycyny pomagały chwilowo tylko, ale nie uleczyły mnie.

Odprawiłam nowennę do Dzieciątka Jezus przez przyczynę Brata Alberta, a skoro ukończyłam, czułam się coraz

lepiej. Dzisiaj jestem zupełnie zdrowa i ani śladu gruźlicy. Największą moją radością jest to, że mogę brać udział we wszystkich ćwiczeniach duchownych Zgromadzenia, jak i również w pracach fizycznych. Za co niech będą dzięki Panu Jezusowi i Jego słudze Bratu Albertowi.

Stwierdzam w prawdziwość wyżej wymienionego mego cudownego uzdrowienia pod przysięgą.

Siostra Feliksa Laszczykówna
Bernardynka.

Stwierdzam jako zgodne z prawdą
Siostra Józefa Pączkowska
Przełożona.

Gniezno 1. stycznia 1934.

Znając świątobliwość Brata Alberta, ur. w r. 1846 z rodziny Chmielowskich, zmarłego w r. 1916 w Krakowie, a pochowanego tamże na cmentarzu rakowickim donoszę, że doznałam od niego następującej łaski:

Będąc właścicielką nieruchomości w Gnieźnie ul. X., czyniłam nadludzkie wysiłki celem sprzedaży tejże zapomocą ogłoszeń w najróżniejszych dziennikach miejscowych i zamiejscowych. Mimo poszukiwań i ogłoszeń ośmiomiesięcznych nikt z chętnych do kupna się nie zgłosił. Byłam brakiem gotówki wprost zrozpaczona, zwłaszcza, że dom mój był zamieszkany wyłącznie przez lokatorów, którzy nie płacili czynszu, bo zaledwie na dziewięciu płaciło tylko trzech lokatorów i to jeszcze nie zawsze, tak że nie miałam z czego opłacać podatków i groziła mi zupełna ruina majątkowa.

Razu pewnego, będąc na nabożeństwie u oo. Franciszkanów w Gnieźnie rozmawiałam z O. gwardjanem Mazurkiem o swej niedoli, że mam dom, z którego nic nie mam i nie mogę się go pozbyć, czyli sprzedać, a to stanowiło moje jedyne źródło dochodu. Wówczas O. gwardjan oświadczył mi, bym szczerze i z ufnością udała się z prośbą w modlitwach do Brata Alberta Chmielowskiego z Krakowa, że On mojej prośbie nie odmówi i że przyśle kupca na mój dom. Modlitwy, które wnosiłam do Brata Alberta składały się z gorącej prośby. Dnia 23 listopada 1933 dostąpiłam łaski. W tym dniu zjawił się kupiec, dom sprzedałam, żądaną gotówkę otrzymałam i stało się to bez żadnego pośrednictwa. Uważam, że działała tu siła wyższa, nadludzka, a w tem uważam siłę świątobliwego Brata Alberta.

W. W.

NIHIL OBSTAT

Wydawca: Br. Wincenty, Albertyn.
Za redakcję odpowiada Br. Viator. — Za administrację: Figiel Władysław.

Kraków — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Opłata pocztowa
uiszczona ryczałtem.

Adres zwrotny: „Nasza Myśl“,
Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.

„NASZA MYŚL“ **informuje o życiu młodzieży zakładów Br. Br. Albertynów**

Prenumerata roczna 1·60 zł. — — Cena numeru pojedyńczego 30 groszy
Konto P. K. O. Nr. 410.202 — Br. Br. Albertynów, Kraków.

ADRES WYDAWNICTWA:
Redakcja i Administracja „Nasza Myśl“, Kraków, ul. Kościuszki 86. Tel. 132-48.